Piszą: Bogdan Brzeziński, Zygmunt Fijas, Magdalena Samozwaniec
Rysują: Karol Baraniecki, Stanisław Cieloch, Kazimierz Grus

Cena 15 zł.

RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

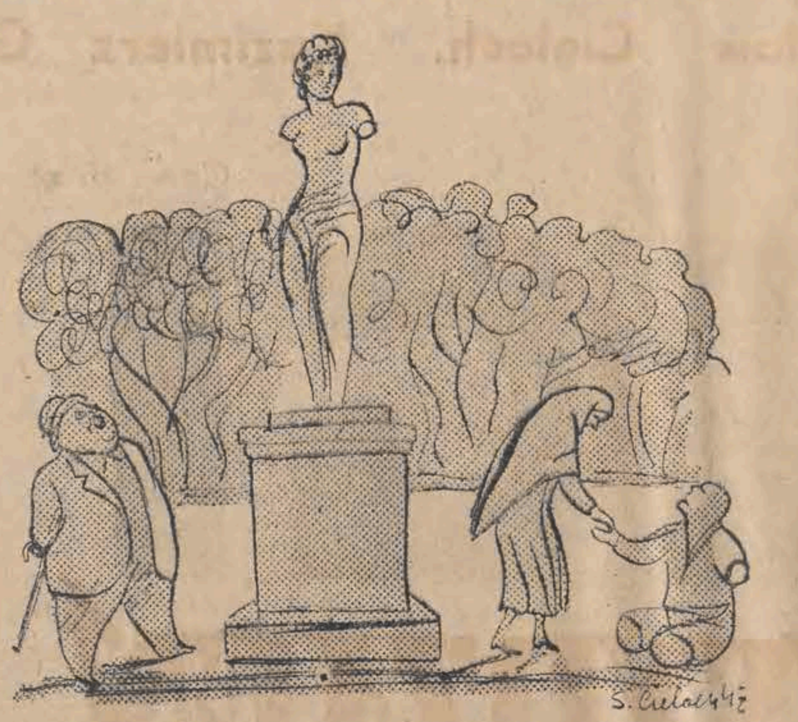
Rok II 29 czerwca 1947 r. Nr 27 (47)

Doktryna „pomocy“ prez. Trumana obejmuje również gen. Franco



rys. REGINA KAŃSKA

„O Dolares, jeszcze jeden raz!...“



Rys. Stanisław Cieloch

Kamień i serce

STEFAN STEFAŃSKI

Różne nasze dzienne sprawy

Barbiere razury Xiążęco-Metropolitalnej Krakowskiej p. n. „Tygodnik Powszechny" ob. Kisiel jest niefortunnym golibrodą. Ob. wygalając np. ostatnio „Pod włos" naszych [illegible] śniętych (w talenty satyryków (Leca, Minkiewicza, Pasternaka) — zaciął nie tyle ich, ile „się". Zaciął się mianowicie „w puls czasów" i obwieścił, że wydane po wojnie zbiory satyr wyżej golonych „są to szacowne skamieliny" z dzisiejszego punktu widzenia „do niczego nie przydatne".

Albowiem: „wobec porozbijanych jąder" (atomu), w obliczu możliwości, „że atomy i dziś mogą rozerwać tę starą pomarańczę, na której mieszkamy" tudzież „w momencie, gdy w Ameryce wybudowano atomowe miasto, gdzie robotnicy chodzą w ołowianych płaszczach" — cóż znaczą sprawy, poruszone przez autorów cytowanych publikacji satyrycznych?

Sanacja, endecja, Dmowski, Mussolini, Beck, Franco, fabrykanci, emigracja i ziemiaństwo, „trupy" i „duchy" — wszystko to, nieprawdaż, fiume, ultramaryna, mucha płaszek itd. Wspominać o tym nawet nie warto, mając przed wystraszonymi oczyma atomową perspektywę bliskiego końca świata.

Trzeba przyznać, że ob. Kisiel rzeczywiście „trzyma rękę na pulsie". Upały, do stu Fahrenheitów, jakby kto piec hutniczy rozłupał, a ten jeszcze daje na poty. Pietra napędza. Bombę atomową trzyma w zanadrzu i śmiercią radioaktywną grozi.

Nie jest łatwo śmiać się — powiada jeszcze z szatańską ironią — w tych warunkach, ale jeśli satyrycy tego nie potrafią „to może by, miast wydawać zbiory satyr, zajęli się... szyciem butów"?

Niech się ob. Kisiel nie pociesza. Jeśli nawet satyrycy wezmą się do szycia butów (zajęcie o wiele lukratywniejsze, niż pisanie satyr), to będą robili na to samo kopyto". Kopyto [illegible] przeciwko (jak to [illegible] nazywa ob. Kisiel) „wiatrakom", mielącym bałagan, rozkład i „wojnę atomową".

* * *

Trudno przewidzieć czy „z punktu widzenia czasów dzisiejszych" i grożącej katastrofy takie np. debaty naszego sejmu — to w ogóle godny poruszenia temat. Ale chyba tak, skoro t. zw. bratni organ „Tygodnika Powszechnego" — „Tygodnik Warszawski" poświęca im długą notatkę (w Nr 25 z dn. 22. VI. 47).

Już tytuł notatki zwraca uwagę. „Nic się nie zmieniło". Zaczynamy czytać... „Dr: Kiernik wyszedł z wstydliwego ukrycia... Nie mogliśmy dostrzec nigdzie białej czupryny pos. Żuławskiego... Liczne fotele świeciły pustką"...

Nie, to chyba nie to. To raczej to: „wbrew oczekiwaniom PPS nie wystąpiło do ataku w związku z zagrożeniem żywota jej pierworodnego dziecka — spółdzielczości..."

Nie wystąpiło do ataku? Nie bierze się za łby z PPR? Doprawdy — przykro. Znaczy — „nic się nie zmieniło".

Bardzo smutna informacja. Jednolity front... PSL: nie wiele mogło dokonać... Ani w zakresie polityki ani w zakresie (nawet) statystyki.

Rzeczywiście — „nic się nie zmieniło". Jedyna nadzieja na zmianę to jeszcze ta, proszę państwa, bomba atomowa, którą tak misternie odgrzał utalentowany felietonista „Tygodnika Powszechnego".

JERZY BAZAREWSKI

WAMPIR

Urocze miejscowości podstołeczne ogarnęła panika. W takich miejscach jak Pruszków, Podkowa Leśna, Milanówek, samotne kobiety nie wychodziły z domów nawet o wczesnym zmierzchu.

Z ust do ust szła mrożąca krew w żyłach fama i wampirze, który napada na pustych drogach na samotne kobiety i — co tu ukrywać — bestialsko je gwałci. Nikt wprawdzie jeszcze gwałconej nady znał na pamięć długą litanię własne oczy nie widział, ale każnazwisk nieszczęśliwych niewiast, które zły los oddał w ręce zbrodniczego zboczeńca.

Pani Tola, słuchając opowieści o przerażającej działalności wampira, uśmiechała się tajemniczo, wywołując zrozumiałe zgorszenie wśród otoczenia.

— Czego się pani śmieje — pytali wściekli znajomi — szydzi pani z cudzego nieszczęścia?! Bardzo ładnie, ale proszę pamiętać, że i panią może spotkać taka straszna sromota, jaka spotkała Felicję, Hermenegildę, Różę, Kicię, Adzię; Isię...

Pani Tola uśmiechała się jednak dalej. Przy okazji dyskretnie wypytywała o wygląd bandyty. W tym względzie odpowiedzi były jak najbardziej [illegible].

— A jak to się odbywało? — pytała pewnego razu pani Tola koleżankę zgwałconej.



— Ach — odpowiedziała koleżanka — bardzo prosto. Kicia szła drogą, wie pani, zaraz za stacją na lewo. Było już szaro. Nagle zza potężnej sosny wyszedł on. Kicię przeszły ciarki, ale cóż miała zrobić, opuściła niewinnie oczy, wie pani, tak jak ona umie, i idzie dalej. On podszedł i powiedział: dobry wieczór — i wziął ją za rękę.

— No, i co? — zapytała pani Tola.

— Co?! Gdy chciała krzyknąć, zasłonił jej potężną dłonią usta i...och, nie mogę o tym mówić to zbyt straszne...

— Niech pani opowie — nudziła pani Tola, ale tamta zatkała uszy i uciekła.

Tego dnia pani Tola wyszła z domu o zupełnie już szarej godzinie. Gospodyni obrzuciła wychodzącą bacznym spojrzeniem i zapytała: dokąd? Na przyjęcie jakieś?... Ślicznie pani wygląda!

Pani Tola, dumna z komplementu, szła kołysząc biodrami ku wąskiej leśnej ścieżynie. Przy wejściu do lasu jeszcze raz upudrowała nos: — no, teraz mogę go spotkać! Żeby się tylko dziś nie zawieruszył!

Nie zawieruszył się. Wyszedł nagle zza rozłożystego drzewa, wysoki, wspaniale zbudowany. Gdy zbliżył się, spojrzał na panią Tolę fosforyzującymi oczami. Panią Tolę przeszły ciarki. Czekała na sakramentalne: dobry wieczór. Gdy był od niej o krok, cym sercem i pałającymi policzzatrzymała się pierwsza z bijąkami. Gdy zobaczyła, że ma zamiar ją minąć, odezwała się pierwsza: dobry wieczór!



Odpowiedział, obrócił się powoli i zapytał: czym mogę pani służyć? Pani Tola po długiej jak wieczność chwili wykrztusiła:

— Przepraszam... tyle się o panu nasłuchałam... Właściwie nie jestem pewna, czy to pan aby...

— Chce się pani zapytać — zapytał mężczyzna — czy to ja gwałcę bezbronne kobiety na leśnych drogach?

Pani Tola patrzyła jak zahypnotyzowana.

— Tak, to ja — oświadczył — ale jeśli chodzi o panią — zmierzył ją przeszywającym spojrzeniem od stóp do głowy — to może sobie pani iść spokojnie dalej.

I oddalił się, niknąc po chwili wśród drzew.

Pani Tola wracała ku domowi krokiem żołnierza po przegranej bitwie. Po twarzy jej, razem z pudrem i różem ciekły łzy, przypominające chłodnik ze śmietaną.

Gdy nazajutrz jedna z koleżanek biurowych zamiast pisać na maszynie, zaczęła opowiadać mrożącą krew w żyłach historię gwałtu, jakiego dokonał wampir wczoraj koło dziewiątej na osobie jej znajomej, pani Tola przerwała opowiadającej krótko lecz z wściekłością:



— Bujda! Nie opowiadaj tych bredni, nie mogę tego słuchać! Nie wierzę w istnienie żadnych wampirów!

GEORGE MIKES

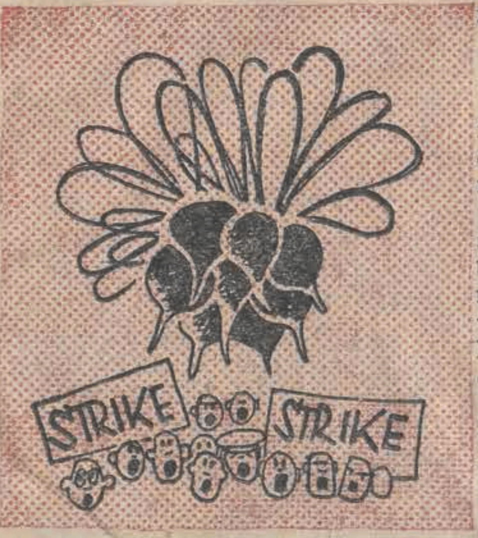
Ilustr. KAROL BARANIECKI



Kompromis w życiu gospodarczym

Sztuka kompromisu jest podstawową zasadą na której Brytyjczycy opierają swoje postępowanie. Sztuka kompromisu jest jedną z wielkich cnót brytyjskich.

Jeżeli handlarz warzyw, w jakimkolwiek kraju, zażąda za pęczek rzodkiewek 14 szylingów lub 14 koron, franków, rubli lub t. p. i gdy kupujący proponuje mu za towar 2 szylingi, korony itp wówczas mówimy, że ludzie ci ulegają godnemu pogardy, cudzoziemskiemu, zwyczajowi targowania się.



Jeżeli jednak robotnicy w dokach lub jacykolwiek inni robotnicy brytyjscy żądają podwyżki płacy o 4 szylingi dziennie i jeżeli przedsiębiorcy nie godzą się na podwyżkę nawet o 1 pensa, [illegible] strajku decydują się na zwiększenie zapłaty o 2 szylingi dziennie, [illegible] to [illegible] za jeden z dowodów [illegible] Brytyjczycy poszukują w zasadzie kompromisu.

Targowanie się jest przyzwyczajeniem poniżającym, kompromis jest jedną z największych cnót ludzkich. Różnica między nimi polega na tym, że pierwsze stosuje się w Europie, drugi zaś na wyspach brytyjskich.

Kompromis w życiu codziennym

Sztuka kompromisu ma jednak inne jeszcze cechy. Ma on tendencje do łączenia wszystkich rzeczy niemiłych. Tak np. życie w angielskich klubach łączy w sobie wszystkie niewygody życia towarzyskiego wraz z nudą samotności. Dom angielski zawiera w sobie zazwyczaj wszystkie braki cywilizacji i trudności życia pod gołym niebem.

Można wprawdzie mieć w domu centralne ogrzewanie, lecz nie może się ono nigdy znajdować w łazience, gdyż jest to jedyne miejsce, gdzie człowiek jest zwykle nagi i mokry, a przecież bakterie brytyjskie muszą mieć pole działania.



Kominek odpowiada najzupełniej tradycjom brytyjskim, siedzi się przed nim i ma twarz w ogniu, a plecy na mrozie. Jest to szczęśliwy kompromis między dwiema wprost przeciwnymi rzeczami.



Rozwiązuje on szczęśliwie zagadnienie, w jaki sposób można się równocześnie usmażyć i przeziębić.

Kompromis w ortografii i przyjemnościach

[illegible] jest kompromisem między dokumentalnymi wyrażeniami, a specjalnie skomplikowanym systemem.

Stanie w ogonku do kina w ciągu 3 godzin jest kompromisem między chęcią zabawy i dążeniem do ascezy.

Klimat angielski jest kompromisem między mgłą i deszczem.

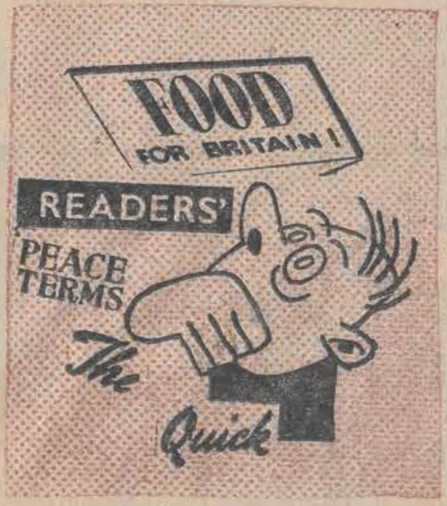
Trzymanie angielskiej gospodyni stanowi kompromis między przyzwyczajeniem polegającym na mieszkaniu w brudnym domu i tym, które polega na sprzątaniu samemu.

Kompromis w polityce.

Partia Pracy jest dobrym kompromisem między socjalizmem i biurokracją. Plan Beveridge'a rozstrzyga kompromisowe zagadnienie, jak być socjalistą i równocześnie nim nie być.

Partia liberalna jest kompromisem między planem Beveridge'a i konserwatyzmem.

Niezależna Partia Pracy stanowi świetny kompromis między niezależnością ludzi pracy, a partią polityczną.



Wreszcie całe brytyjskie życie polityczne polega na ciągłej walce między konserwatystami skłonnymi do kompromisu i socjalistami, którzy pragną go również.

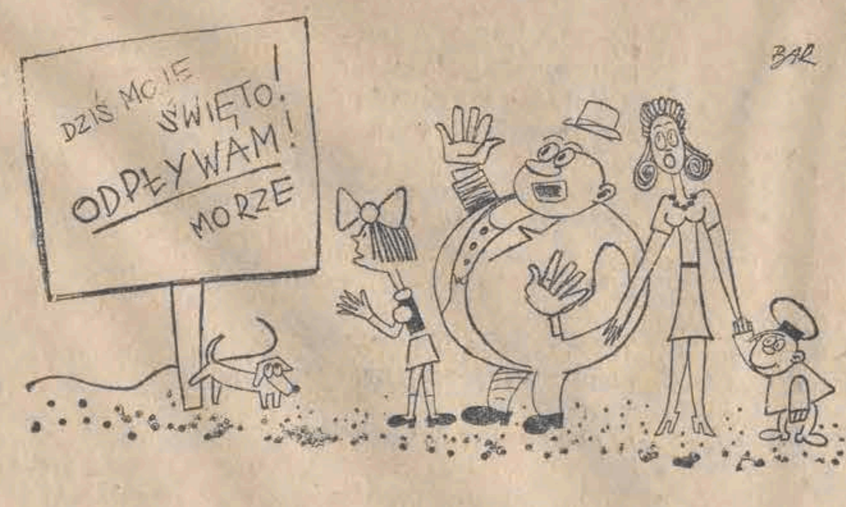
Tłum. Benedykt Brykczyński

W związku z przygotowywaną przez nas antologią p.t. „30 LAT SATYRY POLSKIEJ" (1918—1948), która ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka", zwracamy się do autorów, bibliofilów i do tych wszystkich, którzy posiadają wyczerpane już książki, druki, teksty szopek politycznych, kompletne roczniki pism satyrycznych jak „Pszczółka", „Szczutek", „Cyrulik Warszawski" i inne ewentualne pojedyncze egzemplarze tych pism, wydawnictwa futurystyczne, utwory satyryczne ludowe, utwory pisane w czasie okupacji jednodniówki i dodatki satyryczne do pism codziennych — o przysyłanie tych materiałów pod adresem: Leon Pasternak, Łódź, ul. Bandurskiego 8.

Pisma te, w razie wyrażenia zgody przez właścicieli, chętnie zakupimy. W przeciwnym wypadku prosimy uprzejmie o wypożyczenie, gwarantując zwrot tekstów w ciągu miesiąca od daty otrzymania. W razie niemożliwości przekazania nam materiałów prosimy o podanie opisu posiadanych druków i sposobu w jaki moglibyśmy z nich skorzystać.

Leon Pasternak

Jan Śpiewak



Święto morza

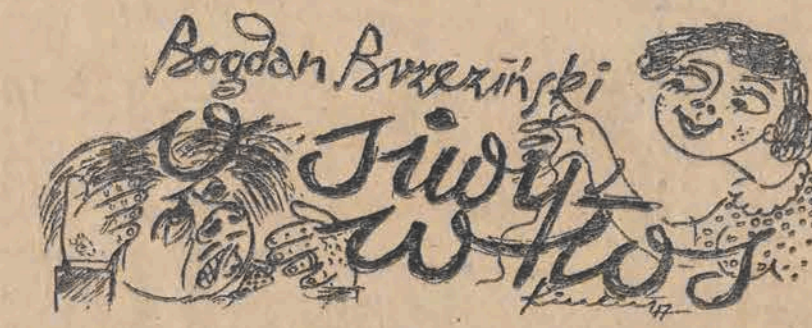
MIESIĘCZNE SPOŻYCIE ALKOHOLU W ŁODZI WYNOSI TRZY LITRY NA GŁOWĘ (z prasy)



Łódź

Rys. Karol Baraniecki

Ilustr. ZBIGNIEW KIULIN



Właśnie skończyłem pisać humoreskę, gdy żona pochyliła się nade mną i powiedziała ze zdziwieniem:

— Czekaj... Przepraszam cię, ale ty masz siwy włos!

— Kto? — spytałem nieprzytomnie, oderwany nagle od pracy.

— No — ty! Przecież nie Duszyński!

— Ja? No, to co ci to przeszkadza? Niech sobie rośnie

— Ależ daj spokój Jesteś jeszcze dość młody, po co chodzić z siwizną na skroni?

— Ech, zaraz „z siwizną"!... Jeden włos...

— Właśnie dlatego, że jeden łatwo go usunąć. Pozwól, zaraz go wyrwę.



I żona chwyciła paluszkami jakiś włos i szarpnęła. Wydałem lekki okrzyk bólu.

— Wyrwałaś? — spytałem.

— Tak! Nie... To nie ten! Popatrz! Uciekł mi.. Ale teraz już wyrwę!..

— Daj spokój, to boli.

— No, cicho, cichusio, sinećku! — powiedziała pieszczotliwie — Chwileczka bólu i będziesz wyglądał o dziesięć lat młodziej Siwe włosy okropnie dodają lat.

Znów szarpnęła — tym razem wyrwała kilka włosów. W oczach zakręciły mi się łzy, ale zacisnąłem zęby

— Jest?

— Zdaje się, że tak... Nie! Wymknął się, bestia! Ale teraz już go trzymam... No: raz, dwa! ——

Zawyłem z bólu! Tym razem żona wyrwała mi całą kępkę włosów.

— Czy jest, psiakrew? — spytałem z wściekłością.

— Będziesz się śmiał — odparła żona słodko — ale nie..: Co za figlarny włos! No, ale tym razem. —

Zadzwonił dzwonek. Żona poszła otworzyć drzwi. Wróciła ze swoją przyjaciółką Alą.

— Popatrz, Alu, jacy ci mężowie niewdzięczni! — paplała żona — Znalazłam u mojego staruszka siwy włos na prawej skroni, chcę mu go wyrwać, a on jeszcze robi mi awantury! —

— Ja — awantury?... — mruknąłem.

— A robis, a robis, sinećku! — zawołała znów pieszczotliwie żona.

— Bo ty jakoś niezdarnie wyrywasz ten włos — powiedziałem z rozdrażnieniem — Już wyrwałaś z tuzin, a ten ciągle siedzi!



— A czym ty wyrywasz? — zainteresowała się przyjaciółka — Palcami? Kobieto, czyż nie, masz szczypczyków?

— Mam.

— Ta daj. Zaraz wyrwiemy panu Bogdanowi.

Przyjaciółka trzy razy szarpała szczypczykami — trzy razy wyłem z bólu i wściekłości — lecz siwy włos trwał na swym stanowisku

— Szatański włos! — zażartowała przyjaciółka — Ale wiesz co? — zwróciła się do żony — Ty wyszukaj go palcami, a ja uchwycę szczypczykami i szarpnę...

Tak też uczyniły. W wyniku tej manipulacji znowu postradałem parę tuzinów włosów.

— Dajcie mi do diabła spokój święty! — krzyknąłem brutalnie.

— No, skoro tak się denerwujesz — odparła żona wyniośle — to rzeczywiście damy ci spokój! Chodź sobie z siwym włosem, jak jaki staruszek!

— A wiesz, nawet ten siwy włos nieźle wygląda. Interesująco — wtrąciła Ala.

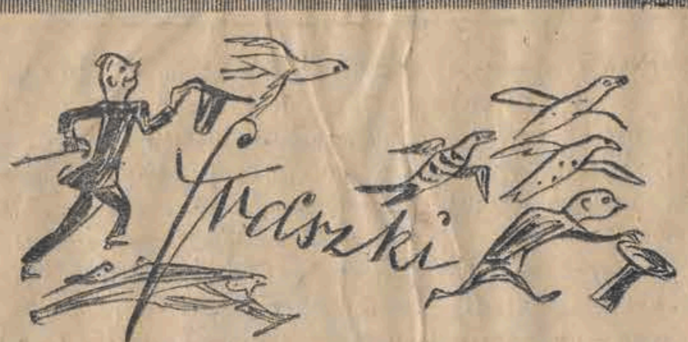
Obie kobiety wyszły do drugiego pokoju. Zostałem sam. Ale nie długo cieszyłem się samotnością. Przyszedł Edward, którego zaprosiliśmy na brydża. Edward przywitał się ze mną. Zauważyłem, że bacznie mi się przygląda.

— Tak, taaak... — powiedział, kiwając głową przyjaciel — Starzejemy się, mój drogi.

— Zauważyłeś ten włos? — spytałem niespokojnie.

— Jaki włos? — zauważyłem, że fatalnie łysiejesz. I to bardzo oryginalnie łysiejesz. Od wczoraj paskudnie wyłysiała ci prawa skroń...





LUDWIK JERZY KERN

NA PEWNĄ EROTOMANKĘ, KTÓRA CZYTA PRZED ZAŚNIĘCIEM

Tak była zachwycona Reymonta dziełami,
że zawsze do łóżka kładła się z „Chłopami".

NA RODZINĘ RECYDYWISTY

Czym dla synusia urynał,
tym dla tatusia kryminał...

HORACY SAFRIN

KOLEDZE DZIENNIKARZOWI

Jako płodny dziennikarz, na puls czasu czuły,
przeciwstawiasz drożyźnie — tanie artykuły.

STARZEJĄCEJ SIĘ PRIMADONNIE

Kąpiąc się w blasku zasłużonej chwały,
jesteś gwoździem sezonu, ale zardzewiałym.

O PEWNEJ ARTYSTCE

O niej wyraził się reżyser N.:
— Wielki talent sceniczny — w urządzaniu scen. —

JAN CZARNY

DO JEDNEJ

Jak stwarzać dobrze Pan Bóg wie
i zawsze trafia w sedno,
dlatego nogi dał ci dwie,
a głowę tylko jedną..:

JERZY ZAJĄCZKOWSKI

Kocham naiwnych

Strasznie kocham naiwnych,
(szczególnie w starszym wieku)
szlachetnych i zażywnych,
z predylekcją do śmiechu.

Takich, co to nie wiedzą,
co jest dobre a co złe —
Takich, co to, gdy jedzą,
to pularde lub rozbef.

Takich, co to rymują
brzydkie słowo — drożyzna,
z innym, którym szermują,
z pięknym słowem — Ojczyzna.

Kocham takich, co en deux
są niewinni jak bobo,
a niejedną już grandę
mają dranie za sobą.

Kocham takich, co z wprawą
od dzieciństwa, ostrożnie,
raczej chętniej na prawo,
a broń Boże a gauche nie!

Takich, co to kły szczerzą
pełni marzeń naiwnych —
Takich, którzy nie wierzą
w obóz pracy i w grzywny...

Takich kocham i takim
życzę szczęścia jak umiem —
Niech „naiwne" ich draki
prokurator zrozumie...

Zygmunt Fijas

WCIERKA

Ilustr. REGINA KAŃSKA

Wstrzymane są aż do odwołania wszelkiego rodzaju bibki, ale dla naczelnego musi być jakieś przyjęcie. Osobistość zacna, sam nie kradnie, drugiemu też nie da. Także kłamać w fabryce nie wolno, a za przekroczenie sami karzemy według uznania. No, człowiek taki, że tylko za ramki włożyć. Musi przeto być dla niego jakieś wyróżnienie.

Poszliśmy tedy zamówić portret stojący, na płótnie, taką wcierkę, czyli obraz malowany bez gruntu przy pomocy zwyczajnego „ławkowca".

Jesteśmy, malarz na nasz widok wcale nie przestaje szkicować. W drugim pokoju jego koledzy, tak zwani „murzyni" nabijają płótno na drzewo, rozrabiają ze śpiewem klej.

— Na wiele pięter? — woła jeden z nich — Widać po was, że grosiwo macie. Pewnie zrobicie w naszej spółdzielni zamówienie numer jeden...

— Na wiele pięter? A na parter nie wystarczy?



— To tam dalej — rzecze wreszcie malarz. Tam przyjmuje bilansista.

— W jakim kolorze? — pyta bilansista. — Ale nie wiem czy mamy cynober. — Tutaj człowiek drze się na całe gardło w stronę strychu: Mamy jeszcze cynober? Może nie mamy cynobru?

— Mamy według spisu dwa całe i trzy dziesiąte kilograma.

— A jaki rodzaj wcierki? Martwa natura, kompozycja figuralna z pejzażem czy suchy portret z rulonem w ręku. A może by tak rzucić na drugi plan jakiś nowy motyw batalistyczny? Specjalista od działań pancernych już wrócił z ćwiczeń. Może być batalistyka zmotoryzowana.

— Pieniądze są składkowe. Byłoby znowu jakieś posądzenie. W naszej fabryce wiara morowa, zasługami nie handluje jak przed wojną. Pobiłby zaraz. Oto fotografia!

Malarz pokręcił głową z zadowoleniem i powiedział.

— Fotogeniczna głowa nie ma co, fotogeniczna, a niech że go frans. Dziesięć kawałków być musi. Trochę Cezara przypomina. No, to bojowo, będzie na wtorek jak żywy. Ale płótno musi być. Deszcze się zbliżają, płótno będzie poddane wpływom atmosferycznym... Trzeba uważać!

— Mamy trochę introligatorskiego karuku, także może być „sichel". Płótno jest, tylko trzeba je trochę przemalować. Przedwojenna extra siermięga. Wyciągamy tę starą wcierkę naczelnego z czasów kiedy jeszcze był lewicowcem i normujemy cenę jak należy.

— Dobrze, ale tak być nie może. Na starą podobiznę musi iść nowy grunt, bo teraz takich marynarek nie noszą...

Upłynęło trzy dni. Niosą naszego naczelnego w kawałkach. Naprzód nogi w błyszczących trzewikach, potem tułów. Głowa jeszcze w rulonie.



— A co, nie mógłby mówić?

— Mógłby mówić, ale gdyby stołówkarkę wzięli diabli. Wygląda, jakby się przez miesiąc karmił u niej. Prawa brew też za duża w stosunku do trzewików. A czemu na twarzy taki ceglasty rumieniec? Nie oszczędzacie cynobru?

— Przebija. Jak się nie podoba, możemy twarz zalepić, nakleić nową i pójdzie do Samopomocy Chłopskiej na wystawę drobiu. Płótna akurat nam brakło.

— Oszczędźcie?

— No, to dawać osiem. Ostatnie cesarskie słowo!

— Robić więc retusz!

Nazajutrz zapowiadają w radiu niż alpejski i słabe wiatry lokalne a tu na podwórzu leje jak z cebra. Naturalnie, jak to po wojnie, rynny przeciekają, deszcz rozmywa naprzód prawy rękaw, potem trzewiki na nogach, wreszcie dobiera się do ramion. Na sali już przemawiają, ktoś stawia wniosek o podrzucenie solenizanta w obrusie, aby się nie potłukł, ktoś inny projektuje zdjęcie marynarki, aby nie poplamić może garnituru a tu na podwórzu sama natura wymywa z pod gruntu: przedwojenny mundur ze znaczkiem Ozonu, potem jaskółkę z kołnierzykiem „sztolckragen" takim jaki nosili za cesarzowej Zyty, wreszcie austriacki kołpak z kogucich piór a na końcu jakieś pasiaste ubranie, zapewne z jakiejś uroczystości więziennej. Twarz tylko ciągle ta sama, o dwu energicznie zakręconych wąchalach.

Chcieliśmy w pierwszym gniewie zdjąć wcierkę sprzed drzwi i zanieść do Samopomocy Chłopskiej, ale nie uczyniliśmy tego. Człowiek nie jest przecież kamieniem. Roślina zmienia się a człowiek miałby być ciągle ten sam? Rozwija się, a więc się ciągle udoskonala.



Nie, nie, tym lepiej, jeśli naczelny jest taki dobry po tylu kolejach.



Ilustr. TADEUSZ ULATOWSKI

Skrzynki odbiorników obłaziły z fornieru jak parszywe owce, pękały wzdłuż spojeń i rozsypywały się. Niektóre z nich owinięte były wilgotnymi frotowymi ręcznikami, jakie widuje się na głowach ludzi cierpiących na dotkliwą migrenę. Było ich wiele Dwieście tysięcy chyba.

Stały wszystkie na placu Walentego Ciecia, człowieka, który czterdzieści lat bez przerwy był dozorcą tej samej posesji Na środku placu otoczony skrzynkami radiowymi stał osobnik, który miał wygląd nie mówcy wiecowego i nie artysty, ale człowieka, który nosa z domu nie wyścibia.

Domator wydawał z swej twarzy zdobnej w wąsy i okulary przeróżne dźwięki. (Gdakał, szczekał, imitował wiejskie kapele i chóry dziecięce. Wreszcie darł miękki, flanelowy szlafrok, który miał na sobie, co wydawało przeraźliwy dźwięk, od którego skrzynki obłaziły z fornieru).

Opodal był park Asenizatora Gnojka (znanego z tego, że w ciągu dnia potrafił wywieźć aż trzydzieści wozów miejskich nieczystości) ze słynną Aleją Piętnastu Cytryn, które zgniły nie trafiwszy do ust konsumenta. Aleja pełna była ławek, na których siedzieli mężczyźni z bardzo znudzonymi minami i czytali książki. Wokół nich kręciły się chmary kobiet. Przysiadały nerwowo na brzeżkach ławek, świstały przez zęby i próbowały przyciągnąć wzrok czytających. Niektóre zaszczycone zainteresowaniem adorowanych, przyklękały na żwirze i całowały mężczyzn po szorstkich i żylastych rękach. Inne, na które napastowani nie raczyli zwrócić uwagi, biegły do pobliskich sklepów, kupowały paczki papierosów, owoce, galanterię i wyroby tekstylne i obdarowywały nimi mężczyzn. Ci, od czasu do czasu, a robili to celowo obnażali centymetr kwadratowy, lub dwa, owłosionego ciała, co wprawiało adorujące ich kobiety w prawdziwy szał seksualny.

Nierzadko pary dochodziły do porozumienia i trzymając się za ręce — udawały się do pobliskich barów i restauracji. Były to lokale rozrywkowe, w których cała rozrywka polegała na tym, że goście mieli do dyspozycji pewną ilość nieświeżych potraw i szkodliwych trunków. Stali za ladą i obserwowali grubych restauratorów, którzy krzywiąc się w niemożliwy sposób i trzymając się za brzuchy — jedli i pili. Zabawa była tym ciekawsza, że restauratorzy płacili za konsumcję stojącym za ladą gościom nowymi banknotami, na których figurowały piękne napisy: ÉGALITÉ-LIBERTÉ-FRATERNITÉ —

Obok lokali rozrywkowych były sklepy. Przed jatkami popychali się w ogonkach brzuchaci rzeźnicy i chudli na oczach. Po długim wyczekiwaniu dostawali się wewnątrz sklepów i docierali do lad. Prosili zazwyczaj o kilogram świeżej wieprzowiny, a stojący za ladą chłopi, robotnicy i pracujący inteligenci zgarniali pieniądze i wzamian za nie dawali im po 10 dk. nieświeżych obrzynków. Grubasy robiły kwaśne miny i odchodziły jak zmyte.

Podobnie przed sklepami włókienniczymi stali kupcy tej branży, ubrani w liche, przydziałowe garniturki. Wydłubywali nerwowymi palcami drzazgi z rękawów, względnie nogawek i upuszczali je na chodnik. Niektórzy wyrywali nici z tkanin i próbowali palić je przy pomocy zapałek. To wydawało straszny odór, od którego kupcy dusili się.

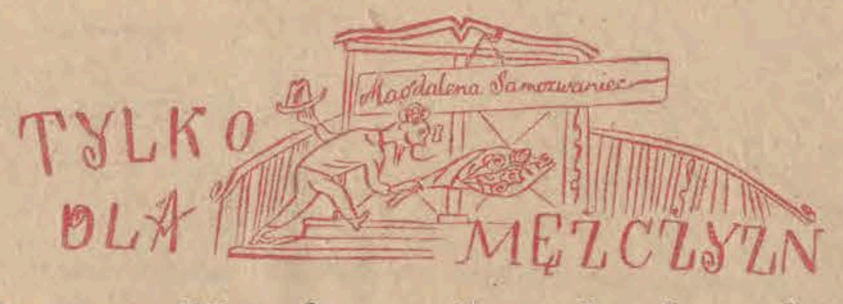
Dopiero wieczór kładł kres ciężkiej pracy. Grubasy porzucali restauracje, jatki i sklepy i udawali się do domów.

Przyzwyczajeni do dorożek targowali się długo płacąc z góry, by zaprządz się wreszcie w dwa dyszle i ciągnąć wehikuł zwany dorożką. Na miękkim siedzeniu siedziała dorożkarska szkapa.

Nierzadki był również widok dorożkarza wprzęgniętego w dyszle i szkapy siedzącej na koźle. Wtedy zwykle szkapa wyganiała zaprzęgniętego dorożkarza przy pomocy sążnistych kopniaków zadawanych przednimi kończynami.

Ten widok był może najbardziej charakterystyczny dla całego miasta. Nie mniej zasługującym na uwagę jest fakt, że miasta nie ma na żadnej z istniejących na obu półkulach map, wobec czego trudno wiedzieć, jaką nosi nazwę, gdzie się znajduje i jak się do niego dostać.





Pije Kuba do Inkuba

W pewnym dziełku, wydanym przez Towarzyswo Metampsychiczne p. t.: „Wstęp do Wtajemniczenia", wyczytałam bezcenne i rewelacyjne zdania o chwilowym opętaniu.

Człowieka — według słów autora — otacza niewidzialna siatka ochronna. Zboczenia seksualne, a przede wszystkim alkoholizm zdolne są uszkodzić ową siatkę, wówczas do człowieczej jaźni włażą różne demony, Inkuby i inne, złe moce, które każą mu działać według swoich zachcianek i fantazji, często groźnych dla niego i jego otoczenia. Po otrzeźwieniu Inkub znika wraz ze skutkami przepicia, a biedny alkoholik dopiero od znajomych dowiaduje się, co podczas owego opętania wygadywał i wyczyniał. Pijaczyna zielenieje i za obolałą głowę się łapie, gdy mu znajomi na drugi dzień opowiadają, co on, ów łagodny i spokojny z natury człowiek, wyprawiał.

— To — powiadają — żeś się zamknął na godzinę w pewnej ubikacji i przez godzinę nie wpuszczałeś tam, spragnionych samotności — to się może zdarzyć, żeś panią domu, nazwał — starą taką a taką, w obecności jej męża — to też po pijanemu może się przytrafić, ale żeś wypił całą wodę z akwarium, a rybki wyplułeś przez okno — tego ci w żaden sposób nie można darować. Tymbardziej, że darłeś się przytym: Muszę mieć coś z ryb!

Najlepszym dowodem opętania jest właśnie to, że ciężko zalany nic nie pamięta z tego, co wyprawiał. Stawszy się znów sobą, płacze, przeprasza, posyła obrażonym kwiaty i przysięga, że jeśli to prawda, że się w ten sposób zachowywał, to zupełnie bezwiednie i mimowoli. Inkuby, które uszkodziwszy siatkę ochronną wdzierają się w człowieka są najrozmaitsze i nigdy nie wiadomo, który z nich spokojnego obywatela opęta.

Niezbyt groźnym, ale za to najbardziej uprzykrzonym jest Inkub-Pleciuga. Opętawszy istotę człowieczą mówi przez jej usta w ten sposób:

— Ja, bardzo przepraszam, ja ogromnie przepraszam, ale jeśli się pani ze mną napije, to ja tu wewnątrz... rozumie pani? Warszawa... pani już wie... i ten brunet, który był wtedy z panią... Ale to nieważne, proszę się napić! To nie o to chodzi, ale człowiek, pani rozumie, ma jeszcze coś. Psiakrew! Ma coś czy nie ma? Bo jak niema... to nie o to chodzi, to wszystko nieważne. Rączuchny całuję i proszę się napić... Ja wiem, ja nie jestem na pani poziomie... ale to nieważne, phii... cóż pani w ogóle sobie myśli? Chodzi o, to co w środku? Nie ma środka, są środki, ale to nie o to chodzi! Hi!... Hi!...

Bardzo nieprzyjemnym w towarzystwie jest typ opętany przez Inkuba-Plugawca, który dobitnym głosem, całkiem niepodobnym do jego zamazanego głosiku zaczyna nagle wypowiadać cały słownik najordynarniejszych wyrazów, akcentując przy tym pierwszą, zwykle najnieprzyzwoitszą literę.

Bardzo często spotykanym jest Inkub-Erotoman. Ten, będąc równie niewybrednym jak diabeł na sabacie czarownic, każe swojej ofierze obcałowywać na przyjęciu najstarsze damy, które często biorą to na serio, i na drugi dzień obdzwaniają go telefonami, mówiąc mu swoje imiona i nazwiska, których on zupełnie nie zna i z którymi, jak twierdzi, nigdy się w życiu nie spotkał.

W pijanego wcielają się też czasem cudzoziemskie Inkuby, a wówczas opętany zaczyna nagle pleść coś okropną francuzczyzną, lub łamaną angielszczyzną.

Dla żon bardzo groźnym jest opętanie mężów przez Inkuba Ruchomego. Ruchomy Inkub, bestia o niespożytych siłach, każe zalanemu mężowi przenosić się z knajpy do knajpy, a w końcu, gdy już nikt nie chce mu towarzyszyć, znika sam w czeluściach nocy i dopiero nazajutrz, znajdą go smacznie śpiącego na środku jezdni, na schodach obcej kamienicy, na wozie z węglem, na dnie strumyka jednym słowem w najmniej stosownych miejscach.

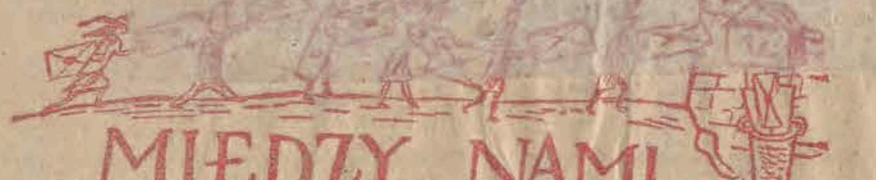
Zdarzają się również Inkuby o złodziejskich nawyczkach, te każą swojej ofierze chować do kieszeni cudze kieliszki i popielniczki. Mąż wróciwszy nad ranem do domu, wyciąga nagle z kieszeni zamiast chustki do nosa... damską kombinację i słusznie wówczas przysięga, że mu ją chyba sam diabeł tam włożył, bo on by czegoś podobnego przecież nigdy nie zrobił!

Bardzo często w nawet najlepszych towarzystwach spotykanym jest Inkub-Tłuczek.

Ten każe opętanemu śpiewać: Więc pijmy zdrowie, szwoleżerowie, niech troski zginą w rozbitym szkle...i w tym miejscu ryms! O ścianę kieliszkiem i to zwykle o ścianę ozdobioną kosztownym lustrem. — Inkuby-Tłuczki bardzo często opętują kobiety, tak samo jak i Inkuby-Erotomany, wszystkie inne wyżej wymienione wolą mężczyzn.

Jako konkluzja — skromna rada: Oczywiście, pić musimy, bo jesteśmy nędznymi, przyziemskimi robakami, które czasem zalać trzeba, ale, na miłość Boską, nie pijmy tego ostatniego kieliszka, który przerywa naszą siatkę ochronną i wpuszcza do nas groźne Inkuby!

Magdalena Samozwaniec



„Nieśmiały" (Wrocław). Nadesłał nam pan „balladę", z której wynika, że pewien „belfer" wykonywał m. innymi takie czynności:

...ciągle myślał, wzdychał, palił kadzidła,
że był bogobojny, rzecz mu nie zbrzydła.
Lata schodziły. Włosy stały już siwe,
Lecz nic nie zmieniło, życia tej kursywy
Nocą nie sypiał, proszki brał nasenne,
W cześć ideału miał wiersze płomienne.
Rano wstawał o słońca wschodzie,
Wzdychał smętnie, głaszcząc się po brodzie.
Codziennie chodził z otwartym parasolem,
By okryć ciało przed świata symbolem.
Uczył dziatwę śpiewu, katechizmu,
Czytać i pisać bajki, idiotyzmy...

Otóż to! Uczył „pisać idiotyzmy"! Sądząc z „kursywy" tej „ballady" jest pan, panie Nieśmiały, pojętnym uczniem „belfra".

„Amator" (Łódź). Mam setkę płodów pióra, mniej lub więcej udanych, których czeka jedynie szyderstwo, wykpienie i kosz... Wszyscy wydawcy w swej wybujałej megalomanii nie poprą nigdy młodego talentu mimo demokratyzacji... Amator, gdy odrzucą wszędzie jego prośby o drukowanie, zniechęca się do życia w ogóle, zaniedbuje się w pracy i często gęsto kończy samobójstwem...

Oto część „gorzkich żalów", jakie nadesłał nam Amator z Łodzi, chcąc nas zachęcić do drukowania setki płodów swojego pióra. Niestety, ani jedna sztuka z setki nie nadaje się do poparcia młodego talentu mimo demokratyzacji. Prosimy jednak gorąco Amatora, aby z tego powodu nie zniechęcał się do życia w ogóle, a w szczególności: nie zaniedbywał się w pracy i nie kończył często gęsto samobójstwem. Gra nie warta tzw. świeczki.

Irena G. (Warszawa). Pisze pani: „Posyłam moje rysunki z dowcipami. Jestem pewna, że jeśli chodzi o umieszczenie ich w „Rózgach" — otrzymam odmowną odpowiedź".

Nie chcemy mącić tej pewności. Rzeczywiście — nie umieścimy.

Maria Członkowska (Szczecin). Zrobiła nam pani miłą i dowcipną niespodziankę. Słowa, zawarte w liście, wzięliśmy sobie gorąco do tzw. serca, za pozdrowienia dziękujemy i przesyłamy najładniejsze (na jakie nas stać przy naszej tuszy) ukłony.

Marian Łęcki (Łódź). Ponieważ marzy pan:

Ach, gdybym pieniądze miał,
Kupiłbym sobie domek wśród sadów.
W nim bym spokojnie spał
nie słysząc radia sąsiadów.

życzymy: 1) aby pieniądze pan miał; 2) kupił sobie domek wśród sadów; 3) spokojnie spał: a) nie słysząc radia sąsiadów, b) nie pisząc „wierszy".

Zwłaszcza jesteśmy zainteresowani w spełnieniu się życzenia Nr. 3 litera b.

I. K. (Olsztyn). Twierdzi pan (fraszka „Na waluciarza"):

Miękkim i twardym w pocie czoła orze
widać chce miękkie na twarde zmienić łoże.

Nie, to nie on chce zmienić. To my wszyscy chcemy mu zmienić. I słusznie — jak mówi Pismo Św.

Jarosław Miciński (Katowice). Nadesłał pan kilka fraszek z następującym przypisem:

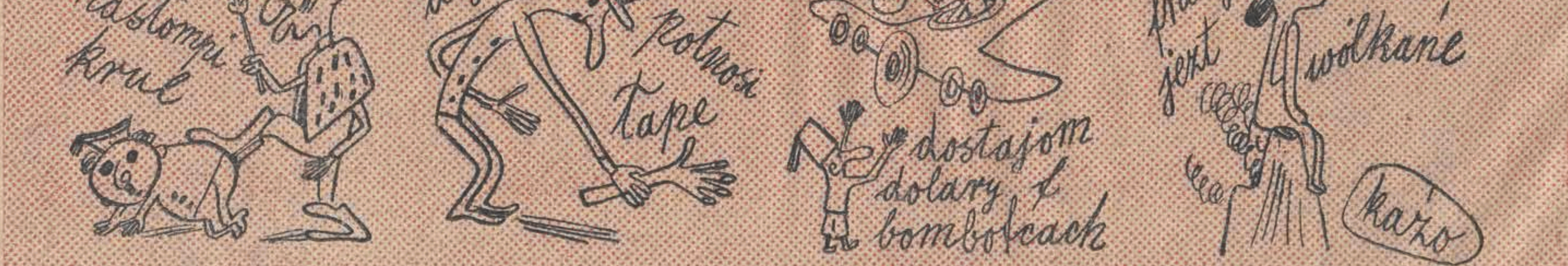
Przepis na fraszkę.
Farszka musi być cięta, z pointą, niedługa,
fraszka nie może wrzeszczeć głupio jak papuga.
Fraszka musi żart każdy sklecić jak skorupy.
Fraszka nie może kończyć się westchnieniem do d...!

Bardzo nas martwi, że się pan nie stosuje do własnego przepisu. Wszystkie pańskie fraszki bowiem powodują. niestety, w końcu głębokie westchnienie w kierunku, który pan tak elegancko wykropkował.

Adam Czekalski (Katowice). Humoreska — mimo dobrego pomysłu — wymaga zwięźlejszego opracowania. Po dokonaniu zmian i pewnych skrótów mogłaby być u nas drukowana.

Władysław Daszkiewicz (Warszawa) Rysunki tym razem niedobre. Humoreska wymaga tzw. przeróbki.

Antoni Pacaj, J. Kulesza (Warszawa), Iga, Ryszard, (Kraków), S. Kolankowski (Gdańsk), Ha-Em- (Poznań), Mietek Sosnowski (Konin), J. T. (Piotrków Trybunalski), Lilka O., Marian Piekarski (Jelenia Góra). — Nie skorzystamy.



Rys. Kazimierz Grus

„Rózgi" ukazują się co tydzień REDAKTOR: Stefan Stefański — REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 86 — telefon 254-21.
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42 D-015964